

# DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:  
Aleksander Zwierzyński

## Jubileusz przemyskiego Tow. Przyjaciół Nauk

Poza Lwowem i Krakowem, a więc miastami uniwersyteckimi, tylko Przemysł zdobył się w b. Galicji równo przed 25 laty, na powołanie do życia żywotnego ośrodka pracy kulturalno-naukowej, w postaci Towarzystwa Przyjaciół Nauk (T.S.N.). Ziemia Przemyska równa co do wielkości lwowskiej, jedno z pierwszych skrzyplec grała w przedrozbiorowej Polsce. Silnym tętmem było tu zawsze życie polityczne, przyczem w dziejach kultury narodu niejedną jej mieszkankę, pięknymi się zapisał zgłoskami. Przemysł stanowi siedzibę jednego z najstarszych biskupstw rzymsko-katolickich. Tutaj żył i działał Orzechowski, w obrębie Ziemi Przemyskiej, bo na zamku Herbutów za Dobromilem, powstała pierwsza niemal drukarnia polska, którą w języku dzisiejszym nazwalibyśmy drukarnią nakładową. W Dubiecku za Przemysłem urodził się „książe poetów” Krasicki.

Nadto jak podaje w jednym ze swoich ostatnich studjów o przeszłości Ziemi Czerwieńskiej prof. Zygmunt Lempicki: „Jeden Przemyslanin z Nowego Miasta ks. Benedykt Herbert i dwaj synowie Sambora (to też Ziemia Przemyska) Grzegorz Czuj i Andrzej Bargiet, wszyscy trzej zawołani humaniści, potrafili wpłynąć na urządzenie wspaniałych szkół klasycznych w Przemysku, Samborze i Lwowie. Wśród biskupów przemyskich, opiekunów szkoły i życia intelektualnego, trafiają się w XVI wieku często wybitni humaniści i pisarze, a żywił duchowny popołu z mieszczańskim, tworzy wnet pewną atmosferę literacką, którą chce się zbliżyć do Lwowa. Z pod Przemysła, z Żurawicy, wyszedł jeszcze w XV w. Marcin Król astronom i lekarz, poprzednik Kopernika znany we Włoszech i na Węgrzech uczony — pozatem zaraz po Lwowie, i najwięcej było zawsze w Wszechnicy Krakowskiej uczonych Przemysłaków. Przemysł porozbiorowy stracił wiele na znaczeniu, nie upadł jednak nigdy tak zupełnie, aby w latach niewoli, nie dostarczać narodowi najlepszych często synów.

Twórcy przemyskiego T.S.N. usłuchali wezwania Oswalda Balcera, który przed laty trzydziestu nawoływał w mowie rektorskiej do tworzenia twierdzy kultury narodowej. We Lwowie powstało Tow. Popierania Nauki Polskiej a niemal równocześnie w Przemysku T. P. N. Założyciele jego twórczy działacz i wielki, niezapomniany patriota Dr. Leonard Tarnawski, wicekurator Feliks Przyjemski i akademik jeszcze wtedy inż. Kazimierz Osiański, przy pomocy niewielkiej grupy ludzi dobrej woli, jeśli się budowy dzieła ważnego i wielkiego.

Skoro spojrzymy w tył, to dostrzeżemy, że mimo upływu ćwierćwiecza,

linia rozwojowa T. P. N. pozostała ta sama i ani na jotę nie uległa zachwianiu. T. P. N. miało być ośrodkiem życia kulturalno-naukowego całej dawnej Ziemi Przemyskiej, miało gromadzić jej pamiątki w równocześnie utworzonym Muzeum Narodowym Ziemi Przemyskiej, oraz być tętmem ducha polskiego przez zorganizowanie biblioteki i wypuszczenie w świat odpowiednich wydawnictw, organizowanie uroczystości i odczytów. Wszystkie te trzy przedsięwzięcia, nawzajem się uzupełniające, stworzyły dzisiejszy piękny dorobek. O muzeum i bibliotecę mieliśmy już sposobność pisać. Dlatego wystarczy im poświęcić po parę zdań. Biblioteka T.P.N. liczy 20.000 tomów i zawiera, obok ostatnich nowości, wiele inkonabułów. Prowadzi ją od lat bezinteresownie i fachowo, prof. Józef Kupka. Przy bibliotece znajdują się zbiory archiwalne, jedne z najlepiej zachowanych w Polsce. Tutaj główną sprężyną jest dyr. Jan Smółka.

Skoro przyjdziemy na moment do Muzeum Narodowego, to wypadnie nam powiedzieć, że zawiera ono przeszło 15.000 cennych eksponatów z różnych działów regionalnych. Muzeum stanowi dzieło inż. Kazimierza Osiańskiego, od założenia, aż po dzień dzisiejszy bezinteresownego kustosa, a najwartościowsze eksponaty ofiarowali m. in. prof. Alfred Dworski (archeologja), inż. Stanisław Till (sztuka kościelna), Helena Dąbcańska i w in. Stare obrazy konserwował znany malarz, uczeń Pochwałskiego, Marjan Stroński, a przedmioty muzealne kustosz inż. Osiański, z laborantem Leśniakiem. W obrębie muzeum znajduje się salon malarzy przemyskich, w którym m. in. znajdujemy obrazy Marji Artwińskiej St. Jankowskiego, Stef. Jacyszynówny, Marji Gisbert Wandy Zabokrzyckiej, Drojowskiej Osiańskiej Janiny, Strońskiego Marjana, Studnickich Tadeusza, Juliana Witolda, oraz Kopystyńskiego St. W dziale tym mamy również rzeźby Józefa Witka - Wylwińskiego i Józefa Wesołowskiego.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk opiera się na własnym statucie, który w roku 1923 został odpowiednio zmieniony. Towarzystwem kierują rada naczelna, która jest raczej ciałem kontrolno-wyrokującym, oraz kierująca właściwie instytucją dyrekcja. Wypadnie nam się z kolei zająć wydawnictwami T. P. N. Mamy tu roczniki, oraz wydawnictwa osobne, a nadto odbitki prac umieszczanych w rocznikach. Jeśli chodzi o roczniki, to wyszło ich ogółem siedem.

**Tom I za lata 1909—1911** obejmuje obok sprawozdań, pracę Jana Smółki pt. „Powstanie Wielkopolski przeciw Szwedom w latach 1655—57”.

**Tom II za rok 1912** zawiera m. in. pracę Dr. Piotra Hrabę: „Spytko z Jarosławia”.

**Tom III za lata 1913—1923** jest najobszerniejszy. Zawiera: Ks. Józefa Natulewicza „Z pamiątek proboszcza, skreślonych w latach wojny 1914-1919. — Jana Smółki „Katalog starożytnego archiwum Przemysła i Twa Przyjaciół Nauk”. — Dr. Przemysława Dąbkowskiego: „Stosunki kościelne Ziemi Sanockiej w XV stuleciu”. — Wacława Widigiera: „Szytych angielski w perspektywie dziejów”. — Kazimierza Osiańskiego: „Wykopiska w Budach Łańcuckich z epoki młodszego okresu cesarstwa rzymskiego”. — Dr. Piotra Hrabę: „Mapa granic Ziemi Przemyskiej i Sanockiej w XV w. z objaśnieniami”.

**Tom IV za rok 1923:** Prof. Przemysław Dąbkowski: „Fryderyk Jacimirski, miecznik sanocki”, studjum hist.-obyczajowe z XV w. — Jan Smółka: „O herbie miasta Przemysła”.

**Tom V za rok 1924:** Dicker Józef: „Górnictwo na Rusi Halckiej w XV i pierwszej połowie XVI w.” — Barwicz Edward: „Indygenat w Polsce za Stanisława Augusta”. — Dr. Kamiński Jan: „Z przeszłości cechów lubelskich”. — Ks. Dr. Kaz. Konopka T. J.: „Listy akademików w XV w.” — Bochnak Adam: „Warowny klasztor Karmelitów Bosych w Starym Zagórze”.

**Tom VI za rok 1925:** Barycz Henryk: „Kulturalna działalność Piotra Kmity”. — Dr. Burgiel Włodzimierz: „Lamentowa grupa pieśni pogrzebowych” — studjum porównawcze. — Dr. Kramarz Walerjan: „Stosunki gospodarcze w Przemysku w pierwszej połowie XVII w.”

**Tom VII za rok 1926-27:** Dr. Wanda Dobrowolska: „Młodość Jerzego i Krzysztofa Zbaraskich”.

Na tem wydawnictwo roczników się urwało i dopiero obecnie przygotowuje się rocznik za okres od 1927—1935 roku.

Tak rocznik, jak i wydawnictwa, wychodziły w paru tysiącach egz., a tematy świadcza, że obok spraw regionalnych, opracowywano zagadnienia ważne dla całości naszej kultury. Z wydawnictw wyszedł w roku 1917 w językach: polskim i niemieckim, „Ilustrowany przewodnik po Przemysku i okolicy” Dr. Mieczysława Orłowicza. Również w roku 1917 wydaje T. P. N. broszurkę Apolinarego Garlickiego: „Co to jest eugenika”, a następnie nakładem gminy kierowanej przez pierwszego burmistrza Przemysła śp. Józefa Kostrzewskiego „Katalog Archiwum Aktów dawnych miasta Przemysła i m. Jarosławia, ten ostatnio nakładem gminy Jarosław. Pomnikowe to dzieło opracował ostatecznie na podstawie wcześniej sporządzonego, ale niewydanego i niekompletnego katalogu, Jan Smółka. W dalszym ciągu wydaje T. P. N. w roku 1927 Dr. W. Kramarza „Ludność Przemysła w latach 1521—1921”. — Dr. Kaz. Azłamskiego: „Zapłaty i dążenia gospodarcze szlachty czerwonoruskiej w XVII w.”, nadto tego samego autora: „Dzieje przemyskich cechów rzemieślniczych w dawnej Polsce”. Śmiało rze-

można, że ani jedno miasto polskie poza uniwersyteckimi, nie jest w stanie pochwalić się równie okazałym dorobkiem wydawniczym.

Wyliczanie tytułów odczytów i referatów, organizowanych przez T. P. N., zajęłoby za dużo miejsca, dlatego tylko dodajemy, że w roku 1910 wmurowano staraniem T. P. N. w ścianę zewnętrznej katedry, wspaniałą tablicę grunwaldzką, dłutą Raszki, oraz wybito medale ku czci Bolesława Chrobrego. Przed paru laty współdziałało Towarzystwo w nadaniu odpowiednich nazw ulicom przemyskim. Niejedną z tych nazw wywołuje słuszne zastrzeżenia, nie można jednak zaprzeczyć, że dopiero T. P. N. postarało się w całej sprawie o pewien ład.

Budżety T. P. N. opierają się na składkach członków (10 zł. rocznie), oraz na subwencjach przemyskiego magistratu, różnych instytucji i banków, a nakoniec Ministerstwa WR i OP. W ostatnich latach subwencje te znacznie osłabły i tem się tłumaczy, dlaczego działalność T. P. N. w zakresie wydawniczym znacznie się zmniejszyła. Z darów indywidualnych na wzmiankę zasługuje kwota 4.000 zł., którą zasłużone Towarzystwo otrzymało przed dwoma laty z masy spadkowej śp. ks. prof. Biegi z Przemysła. Liczba członków nie przekroczyła nigdy cyfry 400, a obecnie jest nawet niższa. Należy nakoniec wymienić osoby, którym T. P. N. zawdzięcza swoje powstanie i rozwój. A więc wspomniani już poprzednio Dr. Leonard Tarnawski, Feliks Przyjemski i inż. Kazimierz Osiański. Ten ostatni życie właściwie poświęcił, aby najznaczniejszemu z grodów czerwieńskich zbudować wiecznotrwały pomnik. Dasi opiekunowie i dobrodziejcy T. P. N., to Oswald Balcer, prof. U. J. K. Przemysław Dąbkowski, nacz. Adam Wrzosek, Bolesław Orzechowicz, a nadto plejada innych ludzi czynu i dobrej woli.

Jubileusz swój obchodzi T. P. N. w chwili dla siebie radosnej. Dzięki poparciu prezesa Funduszu Kultury Narodowej Dr. St. Michalskiego, wyda T. P. N. po siedmioletniej przerwie ósmy rocznik, a nadto jest w trakcie przenoszenia wszystkich swoich agend z muzeum i biblioteką, do własnego już właściwego gmachu przy ul. Władycze. Na całość rocznika składać się będą prace prof. Przemysława Dąbkowskiego, Dr. Aleksandra Czołowskiego, Dr. Marjana Gumowskiego, prof. Tadeusza Sulimierskiego, Dr. Jerzego Polańskiego, inż. Osiańskiego i in.

Dobiegliśmy końca naszego sprawozdania. T. P. N. w Przemysku sumiennie spełnia swoje obowiązki. Nigdy jednak nie stanie się ono ogniskiem wielkiej kultury w tym ważnym ośrodku polskim, o ile społeczeństwo i gmina przemyska nie zrozumieją, że nie samem uznaniem tworzy się dzieła narodowe. T. P. N. wyrosło na pocie zrasającym od lat czoła paru jednostek. Trzeba, aby je wsparł nie tylko podziw ogółu dla dokonanego dzieła, ale i grosz tak bardzo tej instytucji potrzebny. Kończymy więc, że w nowej swej siedzibie przestanie być T. P. N. ledwie tolerowanym Kopcuszkim, a jego kierownicy i pracownicy niewolnikami swych umiłowań, które im niestety nie potrafią często zastąpić zwyczajnego chleba.

Włodzimierz Bilan

# Ks. Wojciech Dębołęcki Kapelan Lisowczyków

Kim byli Lisowczycy wiemy z historii, pełno bowiem o nich wzmianek natrafić można w źródłach dziejowych z pierwszego ćwierćwiecza XVII w.

Oddziały lekkiej jazdy zorganizowane do walki z Moskwą przez Aleksandra Lisowskiego (stad nazwał) w okresie zamordowania Dymitra i wyprawy królewicza Władysława, tem różniły się od innych wojsk zaciężnych że walczyły bez żołdu zadawalając się łupem zdobytym na wrogu.

Wkrótce stali się Lisowczycy słynni z okrucieństwa i grabieży. W okresie pokoju włóczyli się zbrojnemi kupami po kraju rabując i paląc tak, że sejm musiał przeciw nim wydawać specjalne konstytucje wyjmujące ich z pod ochrony prawa.

Lisowczyka można było bezkarnie zabić a jego mienie przywłaszczyć.

W czasie wojny trzydziestoletniej przy cichym współudziale Zygmunta III zacięgnięli się Lisowczycy pod sztandary cesarza Ferdynanda, gdzie walczyli głównie przeciw Czechom. Bez względu na sposób wojowania rychło wyrobili tam sobie markę Krwawych łupieżców gorszych od słynącej z rozwiązości jazdy Wallonów.

W roku 1620 odwołano Lisowczyków do Polski, gdzie walczyli przeciw Turkom.

Po zakończeniu wojny Tureckiej wrócili z powrotem pod komendę cesarza. Towarzyszył im w tej drugiej wyprawie ksiądz Wojciech z Konojad Dębołęcki herbu Prawdzic, przydzielony Lisowczykom przez papieża, jako kapelan<sup>1)</sup>, miał on „położyć tamę ich wyuzdaności i dać niejako rękojmnię dobrego ich sadła zachowania się“.

Ksiądz Dębołęcki był uczonym franciszkaninem, posiadał tytuł bakałarza, zdobyty na uniwersytecie Krakowskim. Oczytany, sam chętnie bawił się literackim rzemiosłem, a „wrodzone usposobienie do muzyki tak wykształcił, że dla zakonu do pieśni i modlitw muzykę układał“ i kapela dyrygował.

Pozatem znany był z kazań wygłaszanych z wielką swadą w których nieraz osobliwe poruszał tematy, (ganił np. matki, że córek swych przed 17 i 18 rokiem zamaż wydawać nie chcą).

Gdy w roku 1619 hrabia Michał Adolf Althann założył w Olomuńcu stowarzyszenie pod nazwą „Chrześcijańskiej żołnierki“ zajmując się m. in. wykupywaniem więźniów z pogańskiej niewoli, zapisał się tam i ks. Dębołęcki czując zawsze pociąg do wszystkiego co nowe i niezwykle.

Pracy w związku oddał się ruchliwy ksiądz z całym zapałem, czem zwrócił na siebie uwagę zwierzchników i dla tego na niego padł wybór, gdy chodziło o wynalezienie odpowiedniego dla Lisowczyków kapelana.

Nienawidząc wszystkiego co trąciło herezją podniósł ks. Dębołęcki wybryki Lisowczyków na wyżyny posłannictwa bożego.

Zamiast poskramiać ich bujne temperamenty, tłómaczył im, że są ludźmi przez Boga wybranym, na wypełnienie karkolu herezji. „Sam Bóg Eleary<sup>2)</sup>“ zaciągnął. On sam chodzi przed nimi jako przed żydami w obłoku<sup>3)</sup>.

<sup>1)</sup> Dane dotyczące osoby ks. Dębołęckiego czerpałem z dzieła p. t. „Krótki rys dziejów i spraw Lisowczyków“, Lwów 1844 przez Maurycego Dzieduszyckiego.

<sup>2)</sup> Tak nazywał ks. Dębołęcki Lisowczyków.

Wierząc słowom swego duchownego (pisze Dzieduszycki) miał się każdy Lisowczyk za posłańca boskiego, apostoła, walcząc wystawiał sobie, że jest świętym Michałem poskramiającym szataną lub Św. Jerzym gromiącym smoka.

W kazaniach swych tak umiał przypadająca na daną niedzielę ewangelję wykrętnie interpretować, że zawsze nawiązał ją do chwili bieżącej.

Sam jednak tego nie spozregł skoro dziwi się dobrodusznemu, że „wszystkie niedzielne ewangelje to co się z nami działo opisywały właśnie jakby je naumyślnie gwoli nam Kościół Boży rozporządził“.

W czasie wojennej tułaczki, pisał ks. Kapelan pamiętnik który zgubił niestety w czasie jakiejś przygody w górach śląskich, mimo to po powrocie do Polski (w roku 1623) napisał dzieje Lisowczyków częściowo na podstawie własnych przeżyć, częściowo na podstawie relacji ludzi godnych wiary.

Pełny tytuł tej interesującej książki jest „nieco“ długi:

„Przewagi Elearów Polskich, co ich niegdy Lisowczykami zwano, które czynili w państwach cesarskich przeciwko heretykom za czasów niezwykłych monarchów Ferdynanda II, cesarza chrześcijańskiego i Zygmunta III króla polskiego i szwedzkiego w leciech pańskich od r. 1619 do 1623, krótko na przedce zgromadzonych. Przez wielebnego ks. Wojciecha Dębołęckiego z Konojad, Franciszkanina ST. Bac. i z rozkazu Ojca ś. ichże Kapelana“.

W dziełku tem stanowiącym nieocenione źródło dla historyków nazywa Dębołęcki Lisowczyków Elearami. Wyraz ten podług niego pochodzi z węgierskich słów Elu jaro, kt. znaczą „naprzód idący, i dlatego harcowników naprzód idących Eluiarami zowią.“

Książka Dębołęckiego wydana w Poznaniu, w roku 1623 należy dziś do białych kruków, które mi pochlubić się mogą nieliczne biblioteki. W r. 1830 wydał ją ponownie Adam ks. Czartoryski opatrując tekst własnymi komentarzami. To drugie wydanie tzw. „puławskie“ jest również obecnie b rzad-

kie.

Gdy już raz ksiądz kapelan zabrał się do pisania, żyłka literacka nie dała mu spocząć, a że był człowiekiem uczonym (bo i doktorat św. teologii w międzyczasie uzyskał i w dostojności kościelnej opływał) nie wypadło mu wystąpić z byle drobiazgiem.

Napisał więc historję świata przedpotopową (Historia antediluviana), którą z wielkim nakładem pracy doprowadził akurat do roku 370 po potopie.

Dzieło swe oddał w roku 1631 do cenzury jenerałowi zakonu franciszkanów Feliksowi Franceschini de Cassia, któremu tak się ono spodobało, że zezwolił ks. Dębołęckiemu doprowadzić je do czasów najnowszych.

Pozatem jenerał ujęty uczonością męża, rozkazał, aby mu wszyscy zakonnicy w dalszych pracach pomagali i by go nie męczono zbytnio obowiązkiem śpiewania na chórze, uzasadniając zarządzenie swe cytatem, że „nie należy wiązać pyska wołowi młócaćemu“.

Pismo to z dumą przedrukował Dębołęcki w swojej pracy.

Oryginał historii przedpotopowej pisanej po łacinie nie dochował się do naszych czasów, znane jest natomiast streszczenie tej niesamowitej historii, które wydał autor po polsku.

Tytuł zawierający treść wiekopomnego dzieła opiewa:

„Wywód jedynowłasnego państwa świata w którym pokazuje ks. Wojciech Dębołęcki z Konojad, Franciszkanin, Doktor Theologicy Św. a General Społeczności wykupywania więźniów, że najstarsze w Europie królestwo Polskie lubo Scythyckie samo tylko na świecie ma prawdziwe Successory Jadamna Setha y Japheta w panowaniu Świata od Boga w Raju postanowionym y, że dla tego Polaki Sarmatami zowią. A gwoli temu i to pokazuje, że Język Słowiański pierwotny jest na Świecie.“

Nie gań aż przeczytasz, bo wydana jest za pozwoleniem i Przywilejem Jego Królewskiej Mości po przejrzeniu na to wysadzonych Theol. y Historyków w Warszawie 1633“.

Książeczka ta (zważywszy, że napi-

sał ją człowiek z akademickim wykształceniem a cenzurowały specjalne komisje) jest szczególnie przykrym dokumentem ciemnoty i upadku nauki w XVII wieku.

Opierając się na biblię, tradycję i etymologję dowodzi uczony doktor, że przy budowie wieży Babel, gdy nastąpiło pomieszanie języków, jedno pokolenie (Jafeta) zachowało dawny język i to był właśnie słowiański. Greka i łacina są zepsutymi odmianami języka słowiańskiego.

Pierwszym władcą był Adam (panował 234 lata), poczem następowali Szczyth (Set), Panosz, Matusiałoch (Matusalem) Jafet czy' i Jupiter, który objął władzę po jedenastoleniu bezkrólewiu itd. itd., aż do czasów gdy rządy objął Gielon, którego synem był Jan Gielon (Jagiello — Jagiello).

Tron polski wróci kiedyś do krainy Libanu, a władca polski będzie władcą świata.

„Dzieło“ to jest ostatnim plodem literackim ks. Dębołęckiego, dalsze jego losy nieznane są już zupełnie, nie wiadomo nawet kiedy i gdzie umarł. To jedynie jest pewne, że nie brał udziału w późniejszych wyprawach Lisowczyków.

Dzieduszycki omawiając postać ks. Dębołęckiego, zestawia go z księdzem Markiem, Karmelita kt. zasłynął w czasie Konfederacji barskiej.

„Ten sam duch wojenny a zarazem klasztorny, ten sam mąż pół mnich pół żołnierz, obaj równi entuzjaści. Dębołęcki większy fanatyk słowem Ksiądz Marek Lisowczyków“.

Czy zestawienie to jest słuszne? Nie wiadomo. Na podstawie licznych wyjątków cytowanych z pism Dębołęckiego rysuje się inna sylwetka, daleka od mistycyzmu i ascetyzmu ks. Marka. Wesoly i towarzyski był ks. Dębołęcki ulubionym kompanem biesiad żołnierskich, miłośnikiem staropolskich facecji duchowo nie tyle ks. Marka przypominający co sienkiewiczowskiego opata z „Krzyżaków“.

Reinuss Roman

## Mowca radjowy z Bożej łaski

W ostatnich czasach radio zwróciło baczną uwagę na technikę wygłaszania odczytów i pogadank. Kandydaci na prelegentów radjowych poddawani są ścisłej selekcji nie tylko ze względu na ewentualny poziom odczytów, ale przede wszystkim ze względu na radiofoniczność swego głosu. Najlepszy i najinteligentniejszy pisarz, gdy ma wadliwą dykcję, niemity głos, niestaranną i niepoprawną wymowę, nie może liczyć na wygłaszanie swych pogadank przez radio. Jeśli treść zasługuje na wygłoszenie przez radio wówczas czyta jego rzecz ktoś inny, jeśli zaś autor nie zgadza się na ten sposób, podyktowany zresztą interesem autora i słuchacza, radio, wymaga bezwzględnie przeszkolenia przy pomocy fachowego reżysera wymowy prelegenta. W wielu wypadkach przeszkolenie takie, o ile prowadzone było ze strony autora z lojalną chęcią zastosowania się do wymagań mikrofonu, dawało istotnie pożądane rezultaty.

Oczywiście przyszłość żywego słowa w radio nie leży w „odczytach“ wygłaszanych przez „prelegentów“. Żaden odbiornik radjowy nie przemieni spokojnego mieszkania słuchaczy w salę wykładową, w której na zmianę wykładaliby coraz to inni specjaliści coraz innych gałęzi wiedzy. I żaden abonent, opłacający miesięczną opłatę za program radjowy,

nie domaga się takiego systematycznego dawkania „prelekcji“.

Paradoks radja leży w tem, że jest to trybuna najbardziej ze wszystkich publiczna, najbardziej powszechna, a równocześnie jest to niemal konfesyjona najbardziej osobisty i najbardziej intymny, konfesyjona, w którym człowiek przemawiając do milionów właściwie mówi do jednostki.

W czasie odczytu radjowego przed mikrofonem stoi mówca, któremu na kilka minut oddany został do dyspozycji instrument o niesłychanych w dziejach możliwościach wpływu. Jego myśli i uczucia docierają w sekundzie do najbardziej pojemnego w dziejach audytorjum.

Ale równocześnie z drugiej strony mikrofonu, przy słuchawkach i przy głośniku słucha zawsze jeden człowiek, choćby ich równocześnie słuchało milion.

Paradoks miliona słuchaczy, rozproszonych na setkach kilometrów i jednego słuchacza, skupiającego myśl przy głośniku, wynika z zasadniczej różnicy między mieszkaniem abonenta radjowego a salą odczytową — i pociąga dla programu radjowego niezmiernie ważne konsekwencje.

Nie odczyt lub pogadanka, ale opowiadanie zbliżone już do rozmowy, opowiadanie na trudne, poważne, zasadnicze i blahe, byle tylko pożyteczne i potrzebne tematy, oto ideał, do którego radjo się zbliża w każdym nowym odczycie i do którego niewątpliwie dojdzie.

Zasadniczą trudnością jest brak urodzonych mówców, ludzi, którzyby umieli opowiadać, formułować swoje myśli, doświadczenia, swoją wiedzę i swe uczucia, swe przygody i spostrzeżenia nie dla dźwięku, ale dla żywej mowy, by jednym słowem radjofonizowali swe teksty odczytowe tak jak się radjofonizuje sztuki teatralne.

W początkach swego istnienia radio dopuszczano do mikrofonu wszystkich, którzy umieli pisać na pewne tematy. Obecnie radio wymaga nie pięknego książkowego stylu ale przyjemnej, frapującej dykcji, ujmującego wygłoszenia ciekawej treści.

Postęp ten był możliwy tylko dzięki selekcji i przeszkoleniu. Trwa ono dalej. Prawdopodobnie też w najbliższej przyszłości wymagania radja stawiane „prelegentom“ wzrosną.

Wokół radja zgromadzą się utalentowani mówcy, którzy licząc się z ogółem — potrafią opowiadać jednemu słuchaczowi, którzy licząc się z zasadami próżno potrafią pisać nie dla dźwięku ale dla ucha, jasno, dźwięcznie, sugestywnie i przykuwająco.

Wówczas przed żywym słowem stworzy się nowa epoka. P.

KAŻDY ŚWIATŁY POLAK  
ŻOŁNIERZEM OŚWIATOWYM!

# Przemysł słomiany

**S**łoma jest surowcem, który znaleźć może wiele korzystne zastosowanie tak w przemyśle domowym, jak fabrycznym. Słomy przemysłowej dostarczają narażone zboża, jak pszenica, żyto, jęczmień i owies, podczas gdy słoma innych roślin, np. hreczki lub strączkowych posiada mniejszą wartość.

Słomy zbożowe wykazują różnice morfologiczne i chemiczne. Na ogół zawierają one substancje łatwiej lub trudniej rozpuszczalne w wodzie niż ługach alkalicznych. Zbiór jest również różny. Najwięcej słomy daje żyto, następnie pszenica, potem jęczmień i owies. Jakość słomy zależy od gatunku uprawnej rośliny, od klimatu, urodzajności gleby i sposobu uprawy i zbioru.

Rozmieszczenie bogatych w próchnicę gleb, czarnoziemów i lasów poucza nas, w których okolicach Polski można z korzyścią produkować przemysłową słomę. Takich okolic posiadamy wiele, a mianowicie Podole, kotliny nadbużańskie i nadniestrzańskie, Wołyń, ziemię sandomierską i proszowską, brzegi dolnej Wisły, Bugu, Narwi, Brdy, Pilicy, Kujawy i inne.

We wszystkich tych obszarach produkowana słoma wykazuje prawie jednolity skład chemiczny i zawiera średnio, gdy zbiór odpowiada celowi, 14,3% wody, białka 3 do 3,8%, tłuszczu 1,2 do 1,6%, ekstraktu bez azotu 33,5 do 35,9%, daje 4,1 do 5,5% popiołu po spalaniu bez różnicy, jaki gatunek zboża ją dostarcza. Najwięcej jednak włókna zawiera żyto ozime, gdyż średnio 44%, następnie jęczmień ozimy 42%, pszenica 40,5%, owies 28,5%. Słoma zawiera prócz tego niewielkie ilości żywicy, olejków eterycznych, cukru, nawet barwika, gumy i pektyny.

Jakość słomy zależy nie tylko od sposobu uprawy, nawożenia i odmiany, lecz także od sposobu zbioru i suszenia. Gdy się chce otrzymać przemysłową słomę, należy żąć sierpem zboże nadzwyczaj ostrożnie, składać ją należyście, a czynność tę wykorzystać w należytej porze i nie dopuszczać do zupełnej dojrzałości ziarna. Słomę taką powinno się chronić przed wpływem słońca i wilgoci, by nie traciła barwy, elastyczności i wytrzymałości. We Włoszech uprawia się pszenicę specjalnie dla zbioru słomy przemysłowej, którą zwą Grano Marsuolo, o słomę jej w handlu nazwano Marzolano.

Słomę przeznaczoną do wyplatania składa się w napół zacięciem, zaciszaniem miejscu, często się przewraca i przez trzy dni, tylko pogodnie, skrapia się lekko wodą, gdy nie było rankiem dostatecznej ilości rosy.

W tym wypadku słoma otrzyma kolor słomiany. Tak zebrane zboże należy szybko wymłócić i słomę starannie ułożyć i przesuszać dalej w zacienionym miejscu. Dla celów przemysłowych bieli się następnie zebraną słomę, poddając ją co dnia działaniom rosy, lub skrapiając przestającą, czystą wodą źródłaną, a nie używając żadnych środków chemicznych. Przemysł fabryczny jedynie dla pewnych celów bieli słomę przy pomocy chloru, siarki, wody utlenionej lub podsiarczynu sodu, lecz wówczas słoma staje się kruchą, mało elastyczną i często po pewnym czasie żółcieje. Słomę tak wysuszoną barwi się barwikami roślinnymi lub smołowcami. Pięknie barwi słomę olej z nasion tytoniowych, odpowiednio przygotowany, a również przy pomocy barwików i farb, przyrządzonych z nasion tytoniowych słoma nabiera bardzo trwałego koloru, zwłaszcza jeśli się ją po zabarwieniu należyście wysuszy.

Dawniej barwiono surowiec słomiany, obecnie barwi się częściej półfabrykat, albo wyroby słomiane. Ze słomy bowiem wyrabia się najpierw plecionki ręcznie lub maszynowo, które następnie można łączyć, rozszerzać i odpowiednio do celu

urabiać, a we fabrykach rozcina się nawet żdźbła na podłużne paski, kawalkuje, a dopiero wtedy barwi.

W przemyśle rozróżniamy różne sposoby przerabiania słomy, są plecionki chińskie, japońskie, angielskie, belgijskie, szwajcarskie, krafińskie, włoskie, szwarcwaldzkie i inne zależnie od techniki wyrobów i barwienia, a także od metody wplatania nitki jedwabnych lub innych. Wyrobom, a zwłaszcza kapelusom słomianym nadaje się sztywność przy pomocy żelatyny. We wielu krajach wyrob plecionek należy do przemysłu domowego, które oddaje je jako półfabrykaty do fabryk. Taki przemysł domowy daje poważne dochody rolnikom włoskim, niemieckim, francuskim, krafińskim, japońskim i chińskim.

We wszystkich tych krajach rozróżnia się słomę gospodarską i przemysłową. Użycie słomy zależy od jej własności i jakości. Przemysłowa słoma musi być rurkowata, długa, nienaruszona i elastyczna. Inne słomy przeznacza się w gospodarstwie na ściółkę karmę i inne gospodarskie cele.

Dobra, przemysłowa słoma daje możliwość rozwinięcia poważnego przemysłu domowego i fabrycznego. Zwykła nawet gospodarska słoma nadaje się do pakowania przedmiotów kruchych, jak

szkła, porcelany, wszelkiego rodzaju naczyń, mebli i wielu innych przedmiotów i posiada tę zaletę, że jest lekka i można ją użyć kilkakrotnie. Prócz tego można jej używać do pakowania owoców, jaj i wielu innych środków żywnościowych tembardziej, że jest złym przewodnikiem ciepła i chroni opakowane przedmioty przed ujemnymi wpływami atmosferycznymi.

Ze słomy wyrabia się różne maty i schrony do drzew, okien, inspektów, piwnic z owocami, dla drzew owocowych, przewodów gazowych i wodociągowych, jakoteż dla wielu innych celów. Słomy używa się również przy budowie dla zapraw, w cegielnictwie, szczególnie przy sporządzaniu porowatych cegieł.

Słoma ma również zastosowanie przy wyrobie papieru tak zwanego słomkowego i tektury, zwłaszcza że tworząc pory przyczynia się do otrzymania dobrej masy papierowej. Amerykanie wyrabiają ze słomy sztuczne drzewo i sprze dają je w deskach 3,5 m. długich, 0,8 m. szerokich, a 0,1 cm. grubych. Drzewo to jest gęste, twarde wytrzymałe i elastyczne i da się obrabiać. Każdą masę słomianą można barwić. Prócz tego masa słomiana po nitrowaniu tworzy materiał wybuchowy i popędowy, to też ma zastosowanie przy fabrykacji prochu strzelni-

czego i miesza się ją z innymi środkami wybuchowymi.

Ze słomy wyrabia się również meble, telki, kosze, koszyczki, pudełka, rolety do okien, ustniki do papierosów, różne galanteryjne wyroby, zabawki, buty słomiane na zimę, wkładki do obuwia, pantofle, ozdoby choinkowe, a nawet ścianki. W Tyrolu istnieją w handlu nawet słomiane skrzypce. Przy wyrobie mebli słoma jest również użytecznym surowcem np. przy wyrobie plecionek dla hoteli, krzesel itd.

Wogóle słoma, produkt dzisiaj w Polsce mało ceniony, należy do surowców przemysłowych, wielce wartościowych. Polska, kraj żyta i pszenicy, nie wykorzystuje jeszcze należycie tego rolniczego produktu mimo, tego że tak wiele u nas mówi się i pisze o stworzeniu przemysłu domowego. Obecnie gdy rolnik w Polsce szuka sposobu wyjścia z obecnego trudnego położenia, gdy zagrożoną placimy poważny haracz za sprwadane wyroby słomiane, gdy u nas szuka się pola do pracy dla wielkiej ilości bezrobotnych, należałoby obok innych zapoczątkować u nas prace dla rozwinięcia przemysłu słomianego tak domowego, jak fabrycznego, na czem zyska wiele rolnik producent i robotnik, a także Skarb Państwa, gdy stworzy się nowe źródła pracy, dochodu społecznego i zdrowe jednostki gospodarcze a temsamem podatkowe.

Inż. I. S.

## Największy na świecie magazyn trucizny

**N**a krańcach Szwecji, pod kregiem polarnym niemal, leży mała osada przemysłowa Römskär, której powstanie przypomina fantastyczne dzieje legendarnej krainy złota, Klondyke.

Początki jej sięgają roku 1918, kiedy to Szwecja, skutkiem blokady nie mogła zaopatrywać się w potrzebne ilości miedzi.

Rzucono się na poszukiwania, przeprowadzono próbną wiercenia, badania elektro - magnetyczne. Aż wreszcie w pobliżu miejscowości Boliden odkryto bogate złoża cennych minerałów: miedzi ołowiu, srebra, złota i — arszeniku.

Sprawdziła się tedy przepowiednia słynnego Paracelsa, który już w roku 1520 miał rzekomo zapowiedzieć, że w okolicy Boliden znajdzie się złoto.

Jakkolwiek eksploatacja rudy w tym zimnym, niegościnnym kraju połączona była z ogromnymi trudnościami i kosztami, — to jednak zabrano się do pracy, aby zdobyć metale niezbędnie potrzebne dla przemysłu. Z chwilą zakoń-

czenia wojny i podjęcia normalnych stosunków handlowych z innymi krajami, dalsza eksploatacja rudy miedzianej w Boliden już się nie opłacała.

Ale pozostało srebro i złoto. Co prawda, zawartość tych dwóch cennych metali w rudzie jest bardzo niewielka: z jednej tony rudy uzyskuje się zaledwie 62 gramów srebra i 19 gramów złota.

Nie jest to dużo, — ale nie lepszy stosunek przedstawiają kopalnie złota w Transwalu i w Klondyke. Bądźco bądź, Boliden jest najważniejszą i najwydatniejszą kopalnią złota w całej Europie — a produkcja jej dosięga poważnych rozmiarów.

Dla przeróbki tej cennej rudy wybudowano właśnie w Römskär olbrzymie zakłady metalurgiczne, zatrudniające kilka tysięcy robotników. Dokoła tych zakładów powstało całe miasteczko, wyposażone we wszystkie nowoczesne urządzenia, światło elektryczne, telefony, teatr, magazyny...

Ruda wydobyta w Boliden zostaje przetransportowana do Römskär i tam

poddana odpowiedniemu traktowaniu.

Roczna produkcja wynosi około 400 tysięcy ton rudy, — z której otrzymuje się: sześć tysięcy ton miedzi, 18 tysięcy kg. srebra, 6700 kg. złota, — i 40 tysięcy ton arszeniku.

Ta ostatnia pozycja właśnie stanowi problem niesłychanie drażliwy i trudny do rozwiązania:

Co począć z taką fantastyczną niemal ilością groźnej trucizny, stanowiącej ważny, choć uboczny produkt całej tej eksploatacji? Czterdzieści tysięcy ton rocznie. Tyle arszeniku nie zużywa w ciągu roku cała kula ziemski! Rzucić te ilości na rynek, — oznaczałoby katastrofalną zniżkę ceny tego środka.

Próbowano pozbywać się arszeniku, wyrzucając go poprostu do morza. Ale i ta procedura okazała się za kosztowną z uwagi na ogromne ilości arszeniku. Zrzęsta przedstawiała to pewne niebezpieczeństwo. — Jakkolwiek fachowcy utrzymują, że nawet przy stosowaniu podobnej procedury przez szereg lat wody Bałtyku pod względem zawartości arszeniku nie różniły się zupełnie od wód Oceanów.

Ostatecznie wybudowano w Römskär olbrzymi betonowy zbiornik, długości 260 metrów, a pojemności 200 tysięcy ton — i w zbiorniku tym magazynuje się tę straszną truciznę.

Przy obecnym tempie eksploatacji zbiornik ten wystarczy na pięć lat. Po upływie tego czasu trzeba będzie przystąpić do budowy nowego zbiornika. Chyba, że w międzyczasie znajdzie się zbyt na tę straszną truciznę, wchodzącą, jak wiadomo, w skład rozmaitych gazów bojowych. (kr.)

## Baletomanja

**N**iejaki Arnold d. Haskell wydał niedawno w Londynie książkę p.t. „Baletomanja, historia opętania“. Rzeczywiście taniec i tanecznicę, traktowane jako kapłanki sztuki, stanowiły dla niego rodzaj opętania od czasu dzieciństwa. Oto jedna z namiętnych historii ze wspomnień Haskella:

Przez całe lata uważał on primabalerkę Treffliwę za najlepszą tancerkę współczesną, nie opuszczał ani jednego jej występu, znał na pamięć każdy jej ruch i wedle niej oceniał inne baletnice. Pewnego razu w Paryżu spotkał ją w towarzystwie, a ponieważ był znany jako miłośnik tańca, posadzano go przy obiedzie obok Treffliwej.

— Jest pan wielbicielem mego tańca — rzekła artystka. — To może pan ze chęcią oddać mi wielką przysługę. Niecierpię alkoholu, ale gospodarz gotów

się obrazić, jeżeli powiem, że nie napiję. Niech pan to nieszczęście robi za mnie.

Haskell poświęcił się i skrzętnie wypróżniał kieliszki własne oraz sasiadki. Wino, wódki, likiery, koniaki lały się strumieniem. Biedaczysko miał niemiłe przebudzenie. Leżał na kupie kamieni na polach Elizejskich, a żandarm potrząsał nim energicznie, grożąc aresztem...

Ale ten fanatyk tańca nie dokonał przecież największego aktu poświęcenia. Swego czasu, przed połową XIX w. olśniewała Europę włoska tancerka Taglioni. Gdy występowała w Petersburgu, grono wielbicieli kupiło za 200 rubli jej pantofelki, kazało je sobie zgotować i podać na stół ze specjalnym sosem podczas bankietu na cześć Taglioni i zjadło z wielkim smakiem.

— X —

**OSCHŁA JUŻ ZIEMIA,  
OSUSZMY ŁZY...**



**Czy Twoje środowisko zawodowe już się opodatkowało na rzecz powodzenia?**

# Historja krakowskiej „wikarówki” i jej twórcy

Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że wbrew, wyssanym zresztą z palca, informacjom codziennego bractwa „Tajnego Defektywa”, sprawa budowy krakowskiej „wikarówki” jest w chwili obecnej przesądzona. Komitet parafjalny otrzymał zezwolenie władz na wznieście nowego gmachu i korzystając z tego powierzył budowę architektowi inż. Maczyńskiemu, który ukończył budowę fundamentów i zasklepania piwnic. Narazie wstrzymano dalsze roboty, gdyż władze rozpatrują projekty fasad przyszłej „wikarówki”. Po zatwierdzeniu jednego z nich budowa pójdzie rażno w górę.

Jakimś cofnięciu udzielonego już raz zezwolenia na budowę nie może być mowy, miasto musiałoby bowiem wówczas wypłacić parafji odpowiednie odszkodowanie, o czym przy obecnym stanie finansów Krakowa nawet marzyć nie można. POCO zresztą cofać udzielone zezwolenie, skoro najęci facychowcy opowiedzieli się, ak ze względów estetycznych, jakoteż urbanistycznych, za odbudową wikarówki. Słuszność ich tezy potwierdziło obniżenie oszalowania nowo budującej się „wikarówki”. Kraków, wbrew „pobożnym” życzeniom pewnej grupki osób, której przewodzą mniejszości, nie został „olśniony” widokiem odsłoniętego prezbiterjum Marjackiej Świątyni. Mimo to przeciwnicy budowy „wikarówki”, jeszcze dzisiaj w obliczu przegranej, nie tracą nadziei. Walczą do upadłego, bronią nie zawsze szlachetną.

Ulubionym konikiem kampanji „antyykarowej” były i są do tej pory argumenty natury historycznej. Obie zwalczające się strony zaczęły szperać skrzętnie po archiwach i starych dokumentach. I cóż się okazało? Twierdzenie, które chcieli udowodnić przeciwnicy budowy „wikarówki”, brzmiało: — Stara, zburzona niedawno rudera, zwana „wikarówką”; jest spuścizną połowy ub. stulecia. Dawniej na tem miejscu nie stało, najwyżej jakiś niski domek, który nie przysłaniał widoku na prezbiterjum kościoła Marjackiego. Prezbiterjum to można było podziwiać w całej okazałości od strony Małego Rynku.

Historja zupełnie innych dostarczyła dowodów. Po pierwsze pokazało się, że dzisiejszy Mały Rynek jest właściwie wytworem XIX stulecia. Wprawdzie widzimy go na planie Krakowa z końca XIII stulecia, zrekonstruowanym przez K. Bąkowskiego, wiadomo jednak, że był on już od tego czasu, aż do połowy ub. wieku, zabudowany. Nosił on nazwę Wendeta, Tandeta, względnie Antiquarium. Na środku noszącego tę nazwę placu wznosił się podłużny budynek, w którym mieściły się jatki, a z obu ich stron pełno było wszelakiego rodzaju kramów, wypełnionych starzyzną. Oczywiście, że zabudowanie Małego Rynku przysłaniało widok na kościół Marjacki.

Tak było mniej więcej do roku 1600. W owym czasie, a ściślej mówiąc w r. 1599, wizytował parafię Marjacką kardynał Radziwiłł. W opisie tej wizytacji jest wzmianka o budynku przylegającym do kościoła św. Barbary, w którym to budynku znajduje się „tunel” łączący Mały Rynek z placem Marjackim. Budynek ten nosi nazwę „zakrystjanji”. Jest to obecnie ta część wikarówki, której nie zburzono. Należy ona bowiem do innego właściciela. Pod „zakrystjanją” znajdują się piwnice, a sposób ich budowania przemawia za pochodzeniem budynku z czasów, do których odnosi się dokument. O właściwej „wikarówce” w wieku XVII jeszcze głucho.

Na pierwszą wzmiankę o „wikarówce” natrafiamy w inwentarzu parafji Marjackiej sporządzonym w r. 1837. Jest do niego wciągnięty, i szczegółowo opisany, dom księży wikariuszów. Opis ów zgadza się w zupełności z planem budynku, zburzonego przed kilku miesiącami. Autor inwentarza twierdzi początkowo, że „wikarówka” w tej formie w jakiej przetrwała do naszych czasów, a więc jako budynek dwupiętrowy, wzniesiona została około r. 1700, jak to ma wynikać z aktu wizytacji dokonanej w r. 1711, przez biskupów Lubieńskiego i Radziwiłła. Na dalszych stronicach inwentarza autor prostuje jednak tę wiadomość i pisze, że wikarówkę wzniesiono około r. 1770.

Inny dokument podpisany przez niejakiego Jakobusa Łatkiewicza, precyzuje jeszcze dokładniej chwilę narodzin „wikarówki”, mówiąc: że powstała ona „anno 1757. 27 octobris”. W r. 1878 wyszedł w Krakowie „Wykaz ulic i domów krakowskich” zredagowany przez Nowoleckiego, który również podaje, że „wikarówkę” wznosił w r. 1757 proboszcz parafji Marjackiej ks. Hiacynt Łopacki, i dodaje, że wzniesiono ją na miejscu jakiegoś starszego budynku, o którym niestety, przynajmniej do tej pory, nie znaleziono żadnych bliższych szczegółów. Budynek „wikarówki” był dwukrotnie odnawiany, w latach 1829/30, oraz około r. 1870. O jakiejś nadbudowie wikarówki, jak chcą niektórzy, nie może być mowy, skoro wszystkie źródła historyczne zgodnie stwierdzają, że „wikarówka”; od samego początku swego istnienia, składała się z dwóch pieter.

W świetle tych danych historycznych jedno wydaje się być pewnem: Prezbiterjum kościoła Marjackiego od niepamiętnych czasów przysłonięte było różnego rodzaju budynkami. Przed ro-

kiem 1757 przysłaniał go jakiś dom, który stał na miejscu późniejszej „wikarówki”. Przeszkodą w jego podziwianiu były również zabudowania wypełniające Mały Rynek. Po roku 1757 stała się dwupiętrowa wikarówka.

Tyle o historii samego budynku, o który toczy się w Krakowie od kilku miesięcy istna „wojna” prasowa i słowna. Budowla, która stanie na miejscu zburzonej wikarówki będzie od poprzedniej nieco niższa (o blisko 1 metr), oraz nieco krótsza. Od strony ulicy Szpitalnej projektowane jest utworzenie w nowym, skróconym budynku arkadowego przejścia dla pieszych, dzięki czemu nastąpi wydatne rozszerzenie jezdni w tem miejscu i zniesienie okrzyczanego przez przeciwników budowy „zakretu śmierci”.

Na zakończenie trudno pominąć milczeniem niezwykle interesującą sylwetkę twórcy niedawno zburzonej „wikarówki”. Był nim zmarły w roku 1761 prepozyt kościoła Najsw. Marii Panny ks. Hiacynt Łopacki, człowiek niezwykle światły. Ukończył on studia teologiczne, filozoficzne i lekarskie, uzyskując na obu ostatnio wymienionych fakultetach tytuły doktorskie. Ks. Łopacki oddał ogromne usługi miastu. Był wielkim na owe czasy filantropem. Na różne cele humanitarne wydał on ogółem w ciągu swego życia dwa miliony ówczesnych złotych polskich. Do jego fundacji należy oprócz „wikarówki”, szpital dla ubogich. Dzisiaj w pozostałym po nim budynku mieści się „Archiwum aktów dawnych miasta Krakowa”. Do zasług ks. Łopackiego zaliczyć należy pomnożenie funduszy Banku Pobożnego w Krakowie, najstarszej instytucji tego rodzaju w podwawelskim grodzie, do 200 tys. zł. Z większych ofiar ks. Łopackiego wymieniają fundacje na bezpłatnych ad-

wokatów dla ubogich, ofiarę na bractwo strzeleckie w kwocie 20 tys. zł. i wiele innych.

Przedewszystkiem jednak troszczył się ks. Łopacki o świątynię Marjacką. Pokrył ją po raz pierwszy blachą miedzianą, zbudował kruchtę przy głównym wejściu. Idąc za prądem swej epoki starał się przynajmniej wnetrze gotyckiej świątyni przekształcić w miarę możliwości na barokowe. Jego dziełem są barokowe ołtarze z czarnego marmuru, godne epoki, w której żył i działał.

Nie wszystkie pomysły ks. Łopackiego zostały zrealizowane. Chciał on między innymi ufundować katedrę fizyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. Niestety nie znalazł odpowiedniego kandydata na wykładowcę. Z jednym jeszcze zamiarem nosił się ten człowiek przez całe lata. Chciał usunąć z kościoła Marjackiego wspaniałe gotycki, nie odpowiadający gustowi współczesnych, ołtarz Wita Stwosza i zastąpić go ołtarzem barokowym. To ostatnie pragnienie, zasłużonego zresztą prepozyta, nie zostało na szczęście zrealizowane.

Współcześni trafnie oceniali niepospolite zasługi ks. Łopackiego. To też twórca „wikarówki” doczekał się na trzy lata przed śmiercią wybicia przez miasto na jego cześć medalu pamiątkowego i panegiryku, skompowanego przez Łaskiewicza. Jakżeż inaczej odnosi się dzisiaj część opinii publicznej Krakowa do niemniej zasłużonych inicjatorów budowy nowej wikarówki. Wszak godny następcą ks. Łopackiego, ks. infułata Kulimowski, obecny prepozyt świątyni Marjackiej, dokonał jej częściowego odnowienia kosztem około 1 miliona 300 tys. zł. o czem wielu zapomina. — Niestety zmieniły się czasy, zmienili się i ludzie..

ak.

## Esteto-klimatologia

Językowy ten nowotwór narodził się we Francji, a służy do określenia pewnej nowej gałęzi wiedzy, zajmującej się badaniem wpływu, jaki wywiera otaczająca przyroda, klimat, temperatura i warunki atmosferyczne na twórczość ludzką.

Szereg uczonych badaczy i lekarzy z całego świata zebrał dotychczasowe obserwacje i doświadczenia w tej dziedzinie, dochodząc w rezultacie do ciekawych wniosków.

Tak więc stwierdzić trzeba duży a niewątpliwy wpływ klimatu i słońca na twórczość artystyczną. Klasycznym przykładem jest tu starożytna rzeźba grecka, rozporządzająca doskonałymi modelami ciała ludzkiego, nie skrepowanego ciężkim, obcisłym strojem.

Toż samo obserwujemy w architekturze i w malarstwie. Budownictwo w krajach południowych, wystawionych na ciągłe działanie silnych promieni słonecznych odznacza się konstrukcją dachów płaskich,—gdy w krajach nawiedzanych przez deszcze i śniegi dachy opadają stromą linią ku dołowi

Gojące słońce Wenecji z jej lagunami i lazurem nieba sprawia, że w obrazach mistrzów ze szkoły weneckiej widzi się całą orgię światła i kolorów. Jakże inaczej przedstawia się szkoła flamandzka! Zamglone niebo, cała atmosfera przeliknięta jakąś szarą mgłą, zacierającą ostre kontury przedmiotów, — wszystko to powtarza się w pejzażach flamandzkich malarzy.

Kiedy w Wenecji życie przewala się radosną, pełną falą po placach i lagunach, — we Flamidji człowiek ucieka przed wilgocią i chłodem w zacisze ogni-

ska domowego lub do jakiejś gospody. I dlatego malarze flamandzcy celują właśnie w reprodukcji wnętrza, — dlatego w obrazach ich trudno doszukać się tonów jasnych, żywych, słonecznych.

Sięgając do innej dziedziny, zauważymy, że kraje południowe, szczerze darzone słońcem, wydają najlepszych mówców i śpiewaków.

Nie da się też zaprzeczyć, że twórczość literacka takiego Hamsuna czy Björnsona lub Ibsena formowała się w dużej mierze pod wpływem atmosfery i klimatu, w jakich pisarze ci wzrosli.

Wszystko to są rzeczy oddawna znane, — nie zwracano jednak na nie należytej uwagi.

Z drugiej zaś strony nie można przeceniać tych wpływów klimatycznych na twórczość człowieka.

Wchodzą tu w grę ponadto rozmaite inne czynniki, jak sposób życia i sposób odżywiania się. Ten ostatni czynnik zwłaszcza zdolny jest zmodyfikować zupełnie charakter danej rasy. Jako przykład przytoczyć można Niemców i Francuzów. W Niemczech maksymalne dawki lekarskie rozmaitych medykamentów są znacznie wyższe niż we Francji.

Tyle wyższe, że niejednokrotnie dawka, dopuszczalna w Niemczech, mogłaby wywołać niebezpieczne zatrucie, zaaplikowana w tej samej wysokości u Francuza.

I wreszcie—poza tem wszystkiem liczyć się trzeba z indywidualnością danego osobnika. O ile wpływ klimatu, atmosfery, i przyrody jest niezaprzeczone i dość znaczny na ludzi przeciętnych, nie odznaczających się żadnym wybitnym talentem, — to teorii tej nie można zastosować absolutnie w innych wypad-

kach, gdy mamy do czynienia z ludźmi wyjątkowymi, obdarzonymi Bożą iskrą talentu czy geniuszu.

Tacy ludzie w każdym klimacie, pod każdym niebem pozostaną sobą. A ważniejszymi czynnikami, wpływającymi na ukształtowanie ich charakteru będą: dzie dziczność, wychowanie i rodzina, stanowiąca zawsze podstawowy filar każdego społeczeństwa. (R.)

## Klimat i radio

Przeglądając ostatnie wykazy statystyczne co do rozpowszechnienia radiofonji w Europie, dochodzimy do interesujących wniosków.

Otóż najlepiej pod tym względem przedstawia się Danja, gdzie na 100 mieszkańców wypada 15 radiodbiorników.

Drugie miejsce zajmuje Anglja (12 procent), trzecie Niemcy (9 procent), za którymi idą Szwajcarja (8 procent) i Belgja.

We Francji wypada zaledwie 4 odbiorniki na stu mieszkańców, we Włoszech ilość radiodbiorników wynosi tylko jeden procent ilości mieszkańców.

Dowodziłoby to, że radio cieszy się największem powodzeniem w krajach o klimacie chłodnym, gdzie ludzie dużo przebywają w domu. W krajach południowych natomiast jak Hiszpanja, Włochy, Grecja, — gdzie życie koncentruje się przeważnie na ulicy, radio jest daleko mniej rozpowszechnione.

# Poeta równowagi

W listopadzie minęło 175 lat od urodzenia Fryderyka Schillera, w maju najbliższego roku upłynie 130 lat od jego zgonu. Warto wobec tego zbięgu dat przypomnieć tu życie i twórczość wielkiego poety, dziś może niezupełnie docenianego w ojczyźnie, gdzie często stawia się wyżej jego przyjaciela Goethego, wynosząc jego olimpijski spokój ponad uczuciowość Schillera. Zapomina się przytem, że obaj poeci działali przez pewien czas wspólnie, nie tylko pisząc razem niektóre utwory, ale i wywierając wzajemnie potężny wpływ na pisane osobno.

Fryderyk Schiller urodził się 10 listopada 1759 (a więc w lat 10 po Goethem) w Marbach, w Wirtembergii, jako syn oficera. Smutne miał dzieciństwo i młodość. Z surowej dyscypliny protestanckiego domu przeszedł pod surowszą jeszcze dyscyplinę szkoły wojskowej, gdzie dostał się z woli księcia Karola Eugenjusza, przeznaczony przezeń na wojskowego lekarza, choć miał zupełnie inne upodobania. Niedługo zresztą pracował w niemiłym sobie zawodzie. Młodzieńczy, pełen ognia dramat „Zbójcy“ stał się kamieniem obrazu dla serenissimusa, który zabronił wszelkiej pracy literackiej Schillerowi. Ten odpowiedział ucieczką z Wirtembergii i przez lat kilka tułał się po świecie, korzystając z pomocy życzliwych ludzi, póki „Historja odpadnięcia Niderlandów od Hiszpanji“ nie otworzyła mu drogi do katedry w Jenie.

„Zbójcy“ są typowym utworem okresu, zwanego przez Niemców *Sturm- und Drangperiode*. Gwałtowne namiętności, potworne zbrodnie, nadludzkie prawie genety szlachetności składają się na akcję tego utworu, a podkład jest rewolucyjny, gdyż tło obyczajowe zwraca się przeciw Niemcom XVIII w., Niemcom drobnych despotów, ucisku i wyuzdania obyczajów. Treści odpowiada język — nerwowa, dośmiadna, często przesadna proza.

Podobne cechy mają i dwa dalsze dramaty — „Sprzysiężenie Fieslea“ wzięte z historii Genui, gdzie człowiek, mający przewziolić ojczyznę od tyranji, ulega pokusie, sam chce zostać tyranem i ginie zato, oraz „Intryga i miłość“ z obrazem typowego dworu współczesnego z jego intrygami, rozpustą i zbytkiem, okupionym krwią i męką żołnierzy, sprzedawanych poprostu Anglikom na wojnę amerykańską.

„Don Carlos“ (1787) jest utworem przejściowym. Dużo tu jeszcze młodzieńczej egzaltacji, ale mniej okrośności i zgrzytów. Objawia się to również w formie, którą jest pięciostopowy wiersz biały. I tu wypisuje Schiller na swym sztandarze hasło „wolność“. Poetą wolności pozostać miał zresztą do zgonu, choć odłata starał się uczynić ją jednym akordem z gamy wszechludzkiej ideałów.

Typowy Niemiec, Schiller zastanawiał się głęboko nad istotą, celami i środkami poezji, oraz nad własnymi możliwościami. Pod wpływem filozofji Kanta, bliższego zaznajomienia się ze starożytnością i pod wpływem Goethego stworzył sobie wnet własną teorię, której dał wyraz w kilku rozprawach i której trzymał się w dalszej twórczości. Poezji naiwnej (n. p. Homera i Szekspira), obiektywnie przedstawiającej sprawy ludzkie, przeciwstawił sentymentalną, przeprowadzającą pośród nich selekcję z pewnego określonego punktu widzenia. Ten punkt widzenia musi być etyczny. Nie jednak przez moralizowanie postanowił przemawiać do ludzi, lecz przez odpowiedni dobór i przetwarzanie tematów. Tym sposobem rozkosz estetyczna miała uszlachetniać i podnosić moralnie jego czytelników, a raczej widzów, gdyż poświęcił się przedewszystkiem dramatu. Równocześnie odrzucił gwałtowność i przesadę wystąpienia, biorąc sobie za wzór starożytnych, równocześnie jednak pozostał pod względem uczuciowym człowiekiem nowoczesnym — i tym sposobem stworzył syntezę romantyzmu i

klasycyzmu. I co do formy zajął stanowisko pośrednie, biorąc od Szekspira biały wiersz, czasem w lirycznych partjach przeplatany rymowanym, ale odrzucając prozę i ograniczając przez to żywioł komiczny do minimum. Jest swobodniejszy i naturalniejszy od Francuzów, od których nauczył się niejednego, mniej realistyczny i bardziej skrępowany poetyką klasyczną od Szekspira.

Z Goethem spotkał się po raz pierwszy w r. 1788 (bezpośrednio po przełomowej dla tegoż podróży włoskiej), ale ścisła przyjaźń i współpraca nastąpiła od r. 1797. Zaczęli wydawać wspólnie czasopismo „Hory“ i „Almanach muz“. Owocem współpracy były m. i. satyryczne dystychy, nazwane Ksenjami.

Teraz powstają sławne ballady Schillera i stanowiąca szczyt jego nieramacyjnej twórczości „Pieśń o dzwonie“, wspaniały obraz życia ludzkiego. Równocześnie pracuje poeta nad potężną historyczną trylogią o Wallensteinie. Wielki kondotjer wojny trzydziestoletniej został tu nieco wyidealizowany. Same okoliczności i sam dwór cesarski pchają go do

zdrady. Igra z jej myślą, popychając go zausznicy — i spostrzega nagle, że jest, na drodze, z którą prawie niepodobna zawrócić. Lecz wahanie spowodowało zwłokę w działaniu, minęła najlepsza chwila — i Wallenstein jest zgubiony. To wahanie związane jest z jego wiarą w astrologję. Tym sposobem w dramacie szyllerowskim jawi się równocześnie ze zbliżeniem się do tragedji starożytnej — przeznaczenie. Nie ono jednak rozstrzyga o losie bohatera, co potem zaznaczył wyraźnie wierszem:

W twej piersi są twojego losu gwiazdy.  
W tem zdaniu i w drugim

„jest przekleństwem złego czynu.

Ze musi bez przestanku rozliczyć zło mieści się myśl moralna trylogji, w której sympatja poety jest bez zastrzeżeń jedynie po stronie kochanków, zdruzgotanej przez tryby straszliwych okoliczności, a pełna pogarda jego spada głównie na drugiego zdracę, osiagającego zwycięstwo nad Wallensteinem, ale tracącego przytem jedyne go syna. Oktawjo Piccolomini otrzymuje upragniony tytuł księcia, lecz nie ma go komu przekazać.

## Kartki z podróży do Ameryki

### II. W mieście niebotyków

Bank czy inny dom handlowy mieszczący biura, jest sam w sobie miastem, gdzie kilkanaście wind z błyskawiczną szybkością przenosi na właściwe piętra tysiące swoich pracowników lub interesantów. Windy zwykle zatrzymują się na każdym piętrze, pospieszne stoją tylko co 5 lub 10 pięter. Oprócz nich, na każdym piętrze znajdują się schody bezpieczeństwa a często także schody żelazne na zewnątrz stronie domu, co razi i szpeci niezmiernie ogólny wygląd. Gmach taki mieści poza biurami liczne sklepy, kawiarnie i cukiernie, jadalnię własną, zakłady krawieckie i szewski, pralnię chemiczną. Każdy z pracowników może u krawca naprawić ubranie, u szewca buty albo zamówić nowe, u fryzjera ostrzyć się i ogolić, kupić papierosy czy cygara, bilety do teatru lub na koncert, kwiaty, czy cukierki dla ofiarowania ich pięknej pani. Posiada własną policję, urząd pocztowy i telegraficzny, telefony i posłańców, Tow. ubezpieczeń i bank, lekarza, dentystę i adwokata. Dom taki zamieszkały i obsługiwany jest przez tysiące ludzi.

Pierwszym budynkiem o stalowym szkielecie, wzniesionym w r. 1889 był Ratusz, posiadający 11 pięter. Za nim poszły inne prześcigające się w osiągnięciu najbardziej zawrotnej wysokości. Wielkim triumfem wśród drapaczy nieba jest popularny „Flatiron“, trójkątny olbrzym wrzynający się kantem między V Avenue a Broadway, na Madison Skwerze. Wieża Tow. Ubezpieczeń, uważana za dziwo nowoczesnej architektury, wysoko na 700 stóp, jest wzorowana na słynnej Kampanili Św. Marka w Wenecji. Zegar jej uchodził dotychczas za największy zegar wieżowy w świecie. Gmach Woolwortha, znanego przemysłowca posiadającego we wszystkich większych miastach Stanów swoje sklepy, z jednolitymi cenami po 5, 10, i 20 centów na wszystkie artykuły, był pierwszym gmachem wyłącznie na dom towarowy przeznaczonym.

„Chrysler“, znana firma automobilowa, posiada budynek o 77 piętrach. Miejski Bank Związku Rolników, liczy 54 pięter, jest wysoki na 745 stóp i posiada fundamenty głębokości 63 stóp z piwnicami czteropiętrowymi pod powierzchnią ziemi. Wreszcie, jako ostatni wynik wysiłków woli i twórczości techniki, przewyższający wszystkie, tak co do wysokości jak i kosztów, jest wyżej wzmiankowany „Empire State“.

Nie sposób wymienić wszystkie te drapacze, które niejednemu Europejczykowi wydadzą się może potworne, w całości jednak tworzą obraz niezwykle imponujący i przynajmniej trzeba, że piękny w perspektywie, a nieznanym na kuli ziemskiej i nie dający się porównać z niczem innym.

Przepychi wystaw sklepowych, przewyższających nawet paryskie w gustowności a nie przeładowności układowi towaru, olbrzymie budynki luksusowo

urządzone, dobór ładnych kobiet sprzedających, — wszystko sprawia wrażenie dobrobytu i bogactwa. Piątą Avenue można jedynie porównać do ulicy de la Paix w Paryżu, ale dłuższą jest chyba dziesięciokrotnie i zapełnioną wystawami sklepowymi z towarami najżytkowniejszym i najdroższym. Publiczność spotykana na tej kilkumilowej arterji jest wytworna, elegancka i dostosowana do całości.

Poza tą stroną materialną, co prawda przeważającą w Nowym Jorku, dodać należy, że oblicze kulturalne i duchowe jest wysoko postawione. Nowy Jork posiada wspaniałą, z przepychem urządzonego Uniwersytet Columbia i wiele innych gmachów poświęconych nauce. Przebogata Biblioteka Publiczna na V Avenue, otwarta dla wszystkich, mieści w sobie i dzieła sztuki i galerje. Muzeum miejskie posiada zbiory niejednokrotnie przewyższające podobne w europejskich stolicach. Muzeum Historji Naturalnej pomieszczone jest w olbrzymim czworoboku, a raczej bloku. Zbiory jego są tak celowo i rozumnie zestawione, że nawet laikowi dają jasny pogląd na historję i kulturę narodów.

Codziennie spotyka się tam całe oddziały młodzieży szkolnej, dla której taka metoda poglądowa przedstawia duże korzyści. Akwarjum na placu Beterji posiada wszystkie niemal ciekawsze okazy ryb i stworzeń żyjących w morzach otaczających Amerykę, od strefy polarnej aż do tropikalnej. Wymieniam tylko te zakłady, które zdążyłam zwiedzić, niestety pobieżnie, w czasie mojego zbyt krótkiego pobytu w Nowym Jorku.

Bardzo duża jest liczba teatrów urządzonych z komfortem, zwłaszcza dla przedstawień kinematograficznych. W „mieście Radia“ sala utrzymana w stylu ultramodernistycznym, może pomieścić ponad 15.000 tysięcy widzów i jest stale zapełniona tak, że widzowie czekają stojąc na opróżnione miejsca. Obecnie w Ameryce weszło w użycie dawnie tak zwanych „wodewilów“ będących reminiscencją zwyczajów i obyczajów z przed lat 50-ciu w kostiumach i charakterystyce z owych czasów, poczem następuje film dźwiękowy.

Kościół są piękne i okazałe: katolickie, przeważnie kopjowane na świątyniach gotyckich starej Europy; takim jest kościół Św. Trójcy i Katedra Św. Patryka z dwiema wieżami strzelającymi w niebo. Przepiękną jest także Katedra episkopalna pod wezwaniem Św. Jana Bożego; kościół fundacji Rockfeller'a przypomina świątynię wieżę Św. Guduli w Brukseli.

Miasto Radia jest kompleksem budynków należących do różnych państw mających w nich swoje sale teatralne, kluby, czytelnie, jadalnie i sklepy i nie jest jeszcze całkowicie zabudowane. Teraz właśnie stawia swój gmach Italja; budynek Francji już został oddany do użytku.

Marja Drohojowska.

—X—

W r. 1880 powstała „Marja Stuart“ z świetnie nakreślonymi postaciami: dwóch koronowanych rywalek. Schiller jest po stronie Marji, mażącę długoletniem cierpieniem i śmiercią dawną swą winę, Elżbietę przedstawia jako kobietę obłudną i niegodziwą.

Teraz następują w twórczości poety dwie tragedje, świetnie symbolizujące połączenie romantyzmu z klasycyzmem. — W „Dziewicy Orleańskiej“ Schiller jest romantykiem. Swobodnie zmienia wypadki historyczne; bohaterką czyni prostoduszną dziewczynę wiejską; choć protestant, czyni punktem wyjścia jej cudowne widzenia; konflikt wewnętrzny, zachodzący w duszy Joanny, buduje na narzuceniu jej posłanictwie i ziemskiem uczuciu, jakie budzi się w jej sercu i szczerze wplata ustępy liryczne.

I „Oblubienica z Messyny“ ma obfitość liryki — włożonej jednak w usta chóru i sam temat śmiertelnej nienawiści między braćmi oraz nieświadomo kazirodczej miłości jest klasyczny i nawet zakończenie ma charakter pogański — nie pokutę, lecz śmierć samobójczą wybiera Don Cezar; wreszcie nad całym rodem ciąży klątwa przeznaczenia, ujętego w formę proroctwa.

„Dziewica Orleańska“ była hymnem na cześć patriotyzmu i wolności. Podobny temat opracował Schiller w „Wilhelmie Tellu“, Lecz Joanna działała jako narzędzie wyższej siły, Tell sam dochodzi do wzięcia na swe barki powinności oswobodziciela. Budowa dramatu (nie tragedji) jest luźna — kończy się on dwoma epizodami, wprowadzonymi jedynie dla ocemalowania wzniosłości etycznej bohatera. W tym ostatnim utworze odbił się najlepiej moralny podkład poezji Schillera. Warto dodać, że tło szwajcarskie opiera się jedynie na opowiadaniach Goethego i intuicji samego autora.

Przerobił on dla teatru w Wejmarze szereg obcych sztuk, snuł też plany dalszych dramatów. Najdłuższy jest fragment „Dymitra“ (Samozwańca). Miała to być tragedia jednostki, odkrywającej nagle, że nie ma prawa do tronu, ale niezdolnej go się wyrzec i ginącej za to, że uległa tej pokusie. Gros sztuki miało rozgrywać się na ziemi rosyjskiej, lecz obszerny fragment obejmuje przedewszystkiem efektowny akt, przedstawiający obrady polskiego sejmu (nie bez *liberum veto*).

W tych latach Schiller zdobył wreszcie jako dramaturg należną sławę. Odbył podróż do Berlina, gdzie grano jego utwory z wielkim powodzeniem. Za patriotyczne i wojownicze ustępy stosowano do zbliżającej się rozprawy z Napoleonem, która zamiast spodziewanego triumfu przyniosła — Jenę. Schiller tego nie dożył. Zachorował ciężko i powrócił do Wejmaru, aby umrzeć (9 maja 1805).

Był on nie tylko poetą, ale i głębokim myślicielem. Prócz wymienionej „Historji odpadnięcia Niderlandów“ napisał również „Historję wojny trzydziestoletniej“. Spuścizna jego obejmuje także opowiadania prozaiczne.

Dramat Schillera, jak już zaznaczyłem, opiera się na głębokich rozważaniach nad istotą poezji wogóle i poezji dramatycznej w szczególności. Stanowi rodzaj syntetyzacji najważniejszych prądów literatury światowej i ma silny podkład filozoficzny. I tu i w liryce skłania się Schiller do ideologii ogólnoludzkiej, nie popada jednak w przesadę. Jest to program wolnościowy zbliżającej się wiosny ludów. Poeta zwraca się przeciw wszelkiemu uciskowi i tyranji. Pragnąłby, aby wolni ludzie podali sobie ręce i byli braćmi. Mimo, że napisał tyle tragedji, jest w gruncie rzeczy optymistą. Wierzy w możliwość wcielenia w życie ideałów. Gwałtowny i rozruchany w okresie młodzieńczym, jest w swej dojrzalej twórczości umiarkowanym klasykiem, nie wylaczającym pierwiastków romantycznych i nie popadającym w pedantyczne ubóstwienie reguł, ale dbającym o t. z. decorum i dążącym do idealnej równowagi między ciałem a duszą, rozsądkiem a uczuciem, treścią a formą.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI.

# Z historii naszej kultury muzycznej

Z okazji 125-lecia istnienia Polskiego Towarzystwa Muzycznego we Lwowie

**MOTTO:** Jeżeli kultura jest naczelnym czynnikiem w życiu człowieka to rzec można bez przesady, że sztuka jest jedyną wartością stałą, którą tworzą narody.

Nie wielu dziś o tem wie, że Polskie Towarzystwo Muzyczne we Lwowie, ta pracowita i niezmordowana w swych wysiłkach placówka, jest instytucją muzyczną najstarszą w Małopolsce, a bodaj — że i w całej Polsce. Powstanie jej sięga roku Pańskiego 1810 a więc tak dawnego, że — ze zdziwieniem przegląda się poźłółko, gotykiem pisane akta które dowodzą, iż pan Amadeusz Mozart, syn wielkiego klasyka założył wówczas we Lwowie Towarzystwo Cecyljańskie, którego sam pierwszym był dyrektorem, a które dało początek późniejszemu towarzystwu, noszącemu z konieczności niemiecką nazwę: „Verein zur Beförderung der Tonkunst in Galizien“. Akta, odnoszące się do tych dawno zapomnianych lat niewiele mówią o dziejach tego towarzystwa; najstarszym zaś, urzędowym aktem, odnoszącym się do Polsk. Tow. Muz. — jest drukowany niemiecki egzemplarz statutu, zatwierdzonego rozporządzeniem cesarskiej kancelarii 25 sierpnia 1838 roku.

Z dalszych aktów wynika, że przed rokiem 1848 prezesem towarzystwa był Ernest Hoepfinger — Bergendorf, a w wydziale zasiadali: adwokat Dr. Piątkowski, kierownik muzyczny Józef Promiński, późniejszy dyrektor Jan Ruckgaber i znakomitość ówczesna — skrzypek Jachimowski.

W roku 1848, powstaje przy towarzystwie szkoła muzyczna, nosząca już wówczas nieoficjalnie nazwę: konserwatorium. Znamienną jest też uchwała władz Towarzystwa z roku 1848, — opiewająca dosłownie, że: „wszystkie interesa Towarzystwa muzycznego oddać w polskim języku prowadzić i załatwiać się będą“. Od tego też roku towarzystwo, które w języku polskim nosi nazwę: Towarzystwo ku wykształceniu muzyki w Galicji — rozpoczyna intensywniejszą działalność. Statutowo przewidziany kurator — w osobie gubernatora, dostojnego Agenora hr. Gołuchowskiego, staje się rzeczywistym mężem opatrnościowym towarzystwa. Wielkie zaś zrozumienie znaczenia tej placówki powoduje, że w szereg członków czynnych i wspierających napływają coraz liczniej jednostki ze sfer mieszczańskich, urzędniczych, szlacheckich i karmazynów, wśród których spotykamy nazwiska rodowe: Dzieduszyckich, Sapiehów, Lubomirskich, Siemińskich, Czartoryskich, Łosiów i Pinińskich. Że zaś niektórzy członkowie tych rodów w pracach towarzystwa czynny udział też brali, świadczy o tem korespondencja z księżną Jadwigą Sapieżyną, która zorganizowała chór żeński towarzystwa i jako jego przewodnicząca listy na ręce „Jaśnie Oświeconej Księżnej Jadwigi Sapieżyny, prezydującej chóru damskiego“ — otrzymywała.

W r. 1852 zasiada w wydziale — jako zastępca kuratora Kajetan hr. Lewicki, stolnik koronny i członek rady miejskiej a w gronie członków wspierających znajdujemy nazwisko ks. arcybiskupa Baranieckiego, obok nazwisk innych dostojników. Muzycznymi sprawami towarzystwa kierują: Edward Pollehn, członek wielu austriackich stowarzyszeń muz. — Józef Promiński,

Jan Ruckgaber, I dyrygent i kapelmistrz teatru skarbkowskiego i Józef Schürer II-gi dyrygent towarzystwa. Wśród grona nauczycielskiego spotykamy nazwiska Henryki La Roche, członka honorowego filharmonicznych towarzystw w Wenecji, Bolonii i Gracu, która obok Alberta Snaciarzyńskiego, kapelmistrza teatru Skarbka, udzielała nauki śpiewu.

W pracach towarzystwa współdziałają w r. 1855 Henryk i Józef Wieniewscy. Wydział zaś towarzystwa kładzie nacisk na konieczność intensywniejszego kultywowania muzyki kościelnej i nauki gry na organach.

Decydującym momentem w rozwoju towarzystwa jest chwila pozyskania w roku 1858 na stanowisko dyrektora artystycznego Karola Mikulego genialnego szopenisty i ucznia Szopena, który ucząc gry na fortepianie i nauki harmonii, ujął w energiczne ręce ster rządów szkołą muz. i kierownictwo licznych odtąd produkcji. Siedem wielkich koncertów rozpoczęło jego działalność artystyczną, szkoła muzyczna zaś pod jego rządami uzyskuje nader wysoki poziom. Za jego też czasów z murów tej szkoły wychodzi pierwsza gwiazda w osobie słynnej śpiewaczki Marceliny Sembrich - Kochańskiej.

Rozwój szkoły muzycznej domaga się przybytku nowych sił, toteż do grona uczących wstępuje na stanowisko profesora gry organowej Rudolf Schwarz późniejszy dyrektor szkoły, a obok niego Walery Wysocki, który tyle późniejszych gwiazd śpiewających z rąk swych wypuścił. W 1867 oprócz popisów dorocznych urządziło towarzystwo 12 koncertów muzyki świeckiej i kościelnej.

W rok później przeniesiono siedzibę towarzystwa z ul. Ormiańskiej do „Narodnego Domu“, zyskując tam salę koncertową o 260 fote'ach. Od tej pory funkcję zastępcy dyrygenta spełnia niestrudzony działacz na niwie śpiewaczej Józef Cetwiński.

Rok 1880 przynosi dekret namiestnictwa, mocą którego z dniem 18 września szkoła towarzystwa przemianowana została urzędowo na konserwatorium muzyczne. Na liście uczniów z tego roku widnieją nazwiska późniejszego profesora Henryka Sławiczka i Dr. Karola Czerneho, niestrudzonego działacza na niwie śpiewaczej, a obecnego prezesa „Lutni“ lwowskiej. Rok później ma już Towarzystwo możność bezpłatnego kształcenia pewnej ilości uczniów, przed stawionych przez magistrat, a liczba takich uczniów wzrasta z każdym rokiem. Grono nauczycielskie pozyskuje świetnego pedagoga - skrzypka i wirtuoza Maurycego Wolfsthalę, koncertmistrza wielu koncertów towarzystwa. W r. 1882 w liczbie uczniów Mikulego znajdują się późniejszy dyrektor konserwatorium Mieczysław Soltys i mecenas sztuki śpiewaczej Jan Rasp, dotychczasowy członek Polsk. Tow. Muz. Z towarzystwem współpracują głośni muzycy lwowscy: Henryk Jarecki, kapelmistrz opery i kompozytor, a ponadto Jan Gall, słynny pieśniarz i dyrygent Towarzystwa, które zaczyna brać czynny udział w obchodach narodowych, mimo zewnętrznej, narzuconej niemieckiej szaty. Grono nauczycielskie pozyskuje w roku 1884 świetnego pedagoga - wolonczeliste Alojzego Sład-

ka, z pod którego ręki wychodzą odtąd prawie wszyscy słynni wolonczeliści polscy.

Koncerty kameralne i symfoniczne z udziałem profesorów Sładka i Wolfsthalę należą do najświetniejszych biesiad artystycznych Lwowa. Między uczniami Konserwatorium spotykamy w tym czasie nazwisko dzisiejszego nestora pedagogii muzycznej, obecnego profesora tej uczelni Franciszka Neuhäusera.

Po 29 latach gorliwej pracy ustępuje Karol Mikuli w roku 1886 ze stanowiska dyrektora, a miejsce jego obejmuje Rudolf Schwarz. Równocześnie wykłady przedmiotów teoretycznych obejmuje Stan. Niewiadomski, który dzieli te przedmioty z prof. Słomkowskim. Praca dyr. Schwarza zdążyła ku rozpowszechnianiu muzyki symfonicznej i zaznajamianiu Lwowian z najnowszymi dziełami tego działu muzycznego. Miarą zaufania do Towarzystwa jest odezwa Wydziału Krajowego z roku 1890, wzywająca do utworzenia w ramach Konserwatorium szkoły dramatycznej, która odtąd po dzień dzisiejszy istnieje. W r. 1890 obejmuje urząd prezesa Dr. Jan Czajkowski a zastępcy wiceprezident miasta Dr. Romanowski. 4 wielkie koncerty wagnerowskie obok licznych produkcji kameralnych i obrót kasowy roczny, przekraczający 14 tysięcy gódenów — stanowią dowód rozwoju towarzystwa. W roku następnym przy współdziałaniu lwowskiej „Lutni“ wykonano Händla: Mesjasza i uzyskano koncesję na prowadzenie biura koncertowego.

W poczet członków grona wchodzi późniejszy dyrektor Mieczysław Soltys, a w klasie śpiewu solowego rozpoczynają naukę słynne później śpiewaczki: Salomea Kruszelnicka i Irena Bohuss, a w ślad za nimi Janina Krolewicz i Adam Didur. W klasie gry skrzypcowej wybijają się przyszły wirtuoz Julian Pulikowski. W roku 1892 zakupiono parterową realność przy ul. Chorażczyzny i rozpisano konkurs na budowę własnego domu. Agencja koncertowa sprowadza najświetniejszych artystów na występy a między nimi cudowne podówczas dziecko w osobie Bron. Hubermanna. Równocześnie bierze towarzystwo stały udział we wszystkich uroczystościach narodowych i dobroczynnych a 101 uczniów kształci w Konserwatorium bezpłatnie.

Po śmierci zasłużonego prezesa Czajkowskiego, obejmuje w roku 1895/6 rządy towarzystwa książę Andrzej Lubomirski, a miejsce zmarłego profesora W. Zelaczyńskiego zajmuje mistrz Henryk Melcer. W tym czasie pobierają naukę w konserwatorium obecny kapelmistrz Adam Dołycki (uczeń Soltysa), Helena Ottawowa, znana ongiś śpiewaczka Helena Schuppówna a dalej znany muzyk - poeta Henryk Zbierzchowski, kompozytor Bursa, red. Alfred Plohn i chluba Konserwatorium, wirtuoz - skrzypek Robert Perutz.

Po szeregu wartościowych koncertów, w których brali udział: Kreisler, Śliwiński, mistrz Michałowski, Paulo Szalit i inni. Umiera w r. 1898 Rudolf Schwarz a miejsce jego zajmuje Mieczysław Soltys, który okazuje się nie tylko wytrawnym muzykiem - pedagogiem, kompozytorem z Bożej łaski i najszlachetniejszym artystą, ale i świet-

nym administratorem. Wprowadza z miejsca nowy regulamin szkolny i przenosi siedzibę towarzystwa do wygodniejszego gmachu przy ul. Czarneckiego 18. Zalety swych poprzedników Milulego i Schwarza skoncentrował Mieczysław Soltys w swych rękach, dorzucając perły swej wiedzy mrówczą pracowitością i wielkie zdolności organizacyjne. On to stworzył orkiestrę symfoniczną amatorską liczącą ponad 60 osób, on do grona naucz. sprowadził wirtuoza prof. Kurza, on też już w pierwszym roku swego urzędowania doprowadził do wykonania dzieł najnowszych Straussa, Berliozę, S. Saens'a i wielu innych, które koronowała z pietyzmem wykonana IX. Symfonia Beethovena. Za jego działalności weszli do wydziału dzisiejszy prezes Dr. Ignacy Dembowski, a dalej Henryk Jarecki, Jan Gall i St. Cetwiński.

Od tej pory występuje rok rocznie z konserwatorium zastęp adeptów, którzy w świecie muzycznym zabłysnęli. Są to Jadwiga Dębicka, Anda Kitschmann, Adam Okoński, kapelmistrz i kompozytorowie: Alfred Stadler, Bolesław Wallek, Walewski, Józef Lehrer, Jarosław Leszczyński, Stan. Barański, szereg pianistów — jak Alf. Zoffal, Anna i Zofia Niewiadomskie i chluba polskiego piśmiennictwa muz. Dr. Zdzisław Jachimowski.

Na tem kończy się wiekowa praca Polsk. Tow. Muz., które nadal spełnia rolę najpoważniejszej placówki kulturalnej w Polsce i wypuszcza w świat dalsze gwiazdy śpiewacze, na czele których kroczą: Zofia Fedyczkowska, Marja Mokrzycka, H. Lipowska, Kisieleska, Czesław Zaremba, Romuald Mossoczy, — a obok nich skrzypek Józef Cetner, znany muzyk Dr. Adam Mitscha i wielu, wielu innych.

125 lat mija od chwili powstania tej placówki, która dziś pod energiczną dłonią zasłużonego prezesa Dembowskiego i dyrektora Adama Soltysa spełnia nadal swoje kulturalne posłannictwo.

W. Hausman.

## „Krew z Łysej Góry“

Porozumienie polsko - niemieckie nie pozostało bez wpływu również i na niemiecką twórczość literacką. Wyrazem tego jest wydana świeżo w Berlinie powieść Arnolda Kriegera: „Das Blut der Lysa Gora“ („Krew z Łysej Góry“), w której autor maluje stosunki społeczne na pograniczu polsko - niemieckim na tle antagonizmów i konfliktów narodowościowych.

Powieść odznacza się dużym obiektywizmem. Akcja jej rozgrywa się przed wielką wojną, a bohaterami są Polak, inspektor Jabłoński i Niemiec, Karol Scholbe. Wybuch wojny łączy obydwóch w służbie dla wspólnej „Ojczyzny“ niemieckiej.

**Molière po japońsku:** W Tokio pojawiło się świeżo kompletne wydanie dzieł Moliere'a w języku japońskim, opracowane przez profesora Yoshie. Również niedawno wyszedł przekład wszystkich dzieł M. Prousta.

**Nieznane listy Turgeniewa.** Sowiecki Instytut literacki otrzymał w darze 53 zupełnie nieznanych listów Iwana Turgeniewa, posiadających duże znaczenie dla zobrazowania twórczości literackiej tego pisarza.